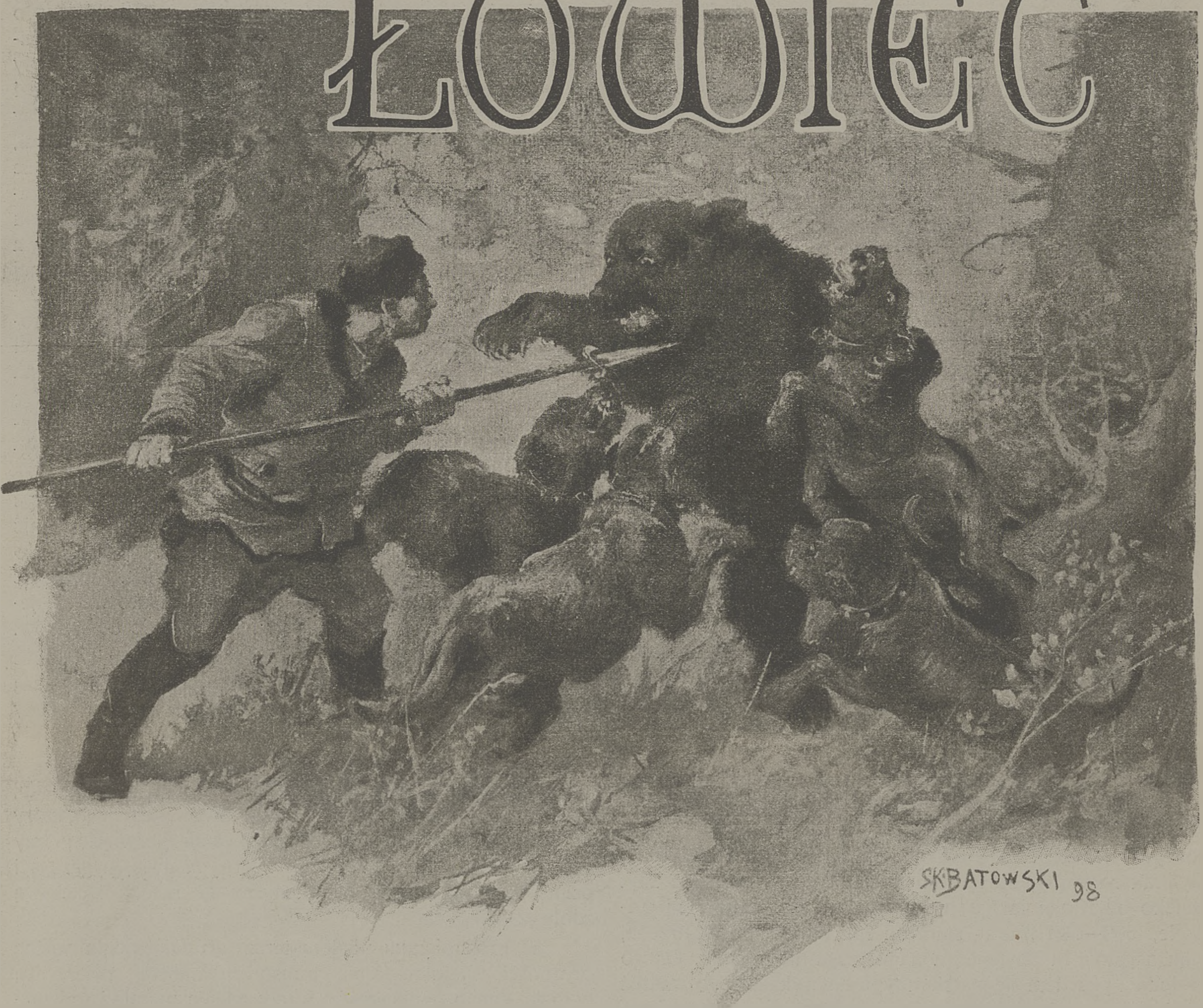
Nr. 2 Lwów, 16. stycznia 1904. Rok XXVII.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Wpisali się do Towarzystwa łowieckiego:

1. Bieczyński Stanisław
2. Borkowski Michał
3. Czaykowski Zdzisław
4. Ebenberger Adam
5. Garapich Władysław
6. Geppert Henryk
7. Jasiński Dr. Zygmunt
8. Kozłowski Rudolf
9. Myczkowski Stefan
10. Nieniewski Stanisław
11. Obmiński Konstanty
12. Puchalski Eugeniusz
13. Puntschert Stanisław
14. Raczyński Dr. Aleksander
15. Towarzystwo myśliwskie rohatyńskie
16. Towarzystwo myśliwskie „Dyana“ w Wieliczce
17. Woyty Wilhelm
18. Zawadzki E. A.

W spisie jubileuszowym członków, którzy od początku istnienia Towarzystwa do niego należą, opuściliśmy: p. Dr. Jana Biesiadeckiego i p. Jana Ostrzechowskiego, co obecnie uzupełniamy.

Wycieczka na Sybir.

(Dokończenie.)

Jeleń „Maral“ jest wspaniałem zwierzęciem, największym ze wszystkich cerwidów, roślejszym od swego najbliższego amerykańskiego krewniaka, a daleko potężniejszym w ciele i rogach od europejskiego, nie wyjmując karpackiego jelenia. Sierć ma jaśniejszą, szczególnie w zimowym włosie, kark gruby, przysadzisty, rogi pyszne, wygląd wspaniały i potężny.

Trudniejsze do nabycia są sarny sybirskie, które jako nie mające równie cennych rogów, tylko sporadycznie u myśliwców spotkać można; różnią się one mało od naszych sarn zwyczajnych, jeno kark i głowa grubsze, sierć w zimowym włosie jaśniejsza, czasem z białą obwódką na karku, Rogi u rogaczy fantastycznie duże i rozłożyste, bijące w trójnasób najpiękniejszego szóstaka naszego kraju. Nie jestem w stanie określić dokładnie, mniej lub więcej bliskie pokrewieństwo ich z sarną europejską i oznaczyć granice terytoryum od Zachodu, gdzie sarna sybirska pojawiać się zaczyna; wiem, że na Ukrainie nad brzegami Dniepru, do dziś dnia istnieje odmienna niemal rasa sarn. Z wyglądu i formacyi rogów niezmiernie do sybirskiej zbliżona, lecz czy to rodzaj ten sam co na Sybirze, czy też przypuszczać należy, że z krzyżowania ras specyalna odmiana się na Ukrainie wyrodziła, orzec nie mogę. W naturalnej historyi sarna sybirska stanowi rodzaj odmienny, zwany Pygargus uralensis, vel Capreolus Pygargus.

Nabywszy zatem sześć sztuk zwierzyny i wypełniwszy tem samem polecenie mego mandanta, zająłem się obstalowaniem odpowiednich klatek do transportu i obmyśleniem drogi powrotnej.

Nie chciałem jednak opuścić Sybiru, nie zakosztowawszy choć dorywczo uciechy myśliwskiej w tutejszych kniejach i ostępach. Spotkany myśliwy „przemysłowiec“, Sybirak rodowity, obiecał mi urządzić polowanie nie zbyt daleko od Krasnojarska; najlepsze knieje ogromnie są odległe, 500—600 wiorst, statkiem lub końmi jechać trzeba, nim się do nich dostanie, a na to czasu nie miałem. Około południa puściłem się statkiem typu amerykańskiego wzdłuż Jenisseju z moim towarzyszem i o 10-tej wieczorem stanęliśmy na miejscu, skąd się myśliwska wycieczka rozpocząć miała. Mój towarzysz zaraz w nocy wyruszył w głąb kraju, by zamówić swego kolegę myśliwego, podwodę i psy gończe „łajki“ zwane, a ja udałem się na spoczynek, ale oka zmróżyć nie mogłem; rozbudzona wyobraźnia spać mi nie dała. Około 4-tej zrana wszystko było gotowe do wymarszu, — noc była piękna, jasna, księżycowa, ale już mroźna, a było to 29. sierpnia; o 6-tej wkroczyliśmy do głuchej, ciemnej tajgi. — Jeden z moich przewodników został przy mnie i ustawił mnie na mniemanym przesmyku zwierza, drugi ruszył z psami do kniei. Po paru godzinach wyczekiwania usłyszeliśmy gon psów; ponieważ jednak nie zbliżał się w naszym kierunku, poczęliśmy naprzód się posuwać, przedzierając się przez gąszcze i okrążając przed nami położone bagno. Wtem usłyszałem gon psów przed sobą; z bijącem sercem i wytężonym wzrokiem wyczekiwałem zwierza, gdy psy znów się oddalać poczęły i zoczyłem w oddali, na olbrzymiem rzadko porośniętem bagnie 3 łosie, bokiem uchodzące. Do strzału było za daleko; gdy za nimi jeszcze jedna sztuka, ogromny byk się pokazał, puściłem za nim kulę, ale bez skutku. Część psów poszła za łosiami a kilka z nich po tajdze goniło i niebawem zoczyłem ponad gąszczem na halawie przesuwającego się zwierza; „Koza, strelaj“, szepnął mój przewodnik i miałem przyjemność widzieć zwierza rulującego z dymem. Był to piękny rogacz, szóstak, „pygargus“ o dużych choć nie bardzo operlonych rogach, które mierzyły 33 cm. długości i 35 ct. rozwarcia. Po małej przekąsce i krótkim wypoczynku ruszyliśmy dalej w głąb tajgi. Psy znowu puszczono do kniei i niebawem głos gonu wskazał, że ponownie są na tropie zwierza. — Miałem nadzieję, że tym razem z jeleniami się spotkam, lecz po pewnym przeciągu czasu mignęły mi na odległość stu kilkudziesięciu kroków trzy piżmowce w pełnym galopie, do których dwa razy strzeliłem, niestety bez rezultatu. — Po parogodzinnej dalszej wędrówce spostrzegłem na mało zarośniętem płaskowzgórzu trzy żerujące piżmowce; skradając się ostrożnie, podszedłem je na jakie sto kroków i wziąwszy na cel jednego, kulę mu posłałem; zwierz uszedł, ale farba na miejscu strzału była dowodem, że kula nie chybiła celu; puściliśmy parę psów na trop rannego zwierza i po długiem szukaniu, kierując się farbą i głosem, „łajek“ doszliśmy do ubitego piżmowca (Moschus moschiferus). Słońce tymczasem miało się ku zachodowi, należało nam spieszyć z powrotem, by z tajgi za dnia się wydostać i nie spóźnić się na statek, który około 10-tej wieczorem przybijał do przystani w powrotnej drodze do Krasnojarska. Wracając tajgą widziałem wielkie stada cietrzewi i udało mi się jednego z nich sprzątnąć kulą z gałęzi, na jakie 80 kroków.

Istną plagą sybirską w letniej porze są moskity, które nieprzejrzanymi rojami dręczą człowieka i żadną miarą uchronić się od nich nie można. Tuziemcy noszą niekiedy zasłony z czarnej gazy na głowie i twarzy, ale i to nie wystarcza i nie jest przyjemnem.

Nazajutrz rankiem byłem z powrotem w Krasnojarsku, bardzo rad z rezultatu jednego dnia łowów, jedynego, który mi czas pozwolił na Syberyi polowaniu poświęcić; trzy sztuki miałem na rozkładzie, z których dwie, pygargus i piżmowiec dla europejskiego myśliwego rzadką i ciekawą zdobycz stanowią.

W Krasnojarsku miałem teraz do załatwienia ważne czynności, t. j. obmyślenie transportu nabytej zwierzyny; było jej zatem sztuk sześć t. j. trzy jelenie marale i trzy pygargusy. Klatki zastałem na ukończeniu pod okiem mego gajowego z Piszczowa. Na dworcu kolejowym zamówiłem wagon i po usilnych staraniach udało mi się wyrobić przyjęcie zwierzyny jako bagaż pociągiem mieszanym z pewnemi, acz małemi ulgami taryfowemi; koszt transportu jednak mimo to wypadł ogromny, przewyższający w dwójnasób ceny, po których zwierzynę nabyłem.

Po opłaceniu wszelkich rachunków i zdaniu zwierzyny na kolej, pożegnałem Krasnojarsk i puściłem się w podróż powrotną. Ze śniegiem i mrozem stanąłem nazajutrz, 1-go września w Tomsku, stolicy zachodniej Syberyi. Miasto oddalone od głównej linii kolei sybirskiej, straciło raczej niż zyskało przez budowę kolei; dawniej bardzo handlowe nad głównym traktem leżące, dziś upada i jakby na uboczu zostało.

Z Tomska do Czelabińska podróż nie zbyt długa; urozmaiciło mi ją spotkanie kilku oficerów i urzędników z najdalszego Wschodu, którzy po długiej niebytności na Zachód wracali. Jeden z nich opowiadał mi ciekawe epizody myśliwskie z polowań w Turkiestanie i około Wiernego. Spotkanie z tygrysem nie należy tam do rzadkości i nie jest przytem pozbawione niebezpieczeństwa.

Z Czelabińska obrałem kierunek drogi powrotnej nie prosto przez Ural a wzdłuż pasma gór na Ekaterynenburg do Permy; przejazd granicy dwóch części świata, oznaczonej dużym słupem murowanym, na którym widnieje z obu stron przeciwległych napis: „Europa i Azya“ do ciekawych momentów tej podróży należy; jaki świat w tych dwóch słowach! W Permie miałem zaledwie czas przesiąść się na statek parowy, płynący po rzece Kamie do Niżnego Nowogrodu. Przejazd dziwnie tani, 8 rs. bilet pierwszej klasy za całą przestrzeń od Permy do Niżnego, około 1400 wiorst wynoszącą. Po trzech dniach miłej i wygodnej podróży na dobrze urządzonym statku, przy pięknej pogodzie i ciekawym widoku zmieniających się ciągle obrazów na wspaniałej rzece z olbrzymim jej ruchem handlowym, odpocząwszy po raz pierwszy należycie po męczącej podróży w ciasnych i dusznych wagonach kolejowych, przybyłem do N. Nowogrodu, słynnego ze swych ogromnych jarmarków i handlu światowego.

Zwiedziwszy pobieżnie tę dawną stolicę książąt Suzdalskich, szybkim kuryerem znalazłem się nazajutrz w Moskwie, gdzie postanowiłem dwa dni spędzić dla oglądnięcia zabytków i ciekawości tej prawdziwej stolicy rosyjskiego cesarstwa, tego basenu, jak się malowniczo jeden z moich przypadkowych towarzyszy podróży wyraził, dokąd płynie złoto z całej Azyi i ze Wschodu najdalszego. Podróż moja miała się ku końcowi; opuściwszy Moskwę 11-go września stanąłem dwa dni później przez Brańsk i Homel w rodzinnej Sławucie, gdzie zastałem oczekujące mnie i zwierzynę sybirską, .podwody i służbę leśną z Piszczowa; złożyło się niezmiernie szczęśliwie, że tegoż samego dnia nadeszła pod dozorem gajowego sybirska zwierzyna zdrowo i pomyślnie, a kilka godzin później wypuszczona została na wolność w Pilawinie.

Na zakończenie tej relacyi z mej sybirskiej wycieczki, pozwolę sobie dodać niektóre szczegóły dotyczące samego zwierzyńca „Pilawin“. Myśl jego założenia powziął J. W. właściciel w r. 1900; dwa lata trwały roboty około zagrodzenia całkowitej ogromnej przestrzeni, której figura przedstawiająca nierówny wielokąt, wyciętą została z całego obszaru lasów Piszczowskich, obejmującego około 27000 morgów, w ten sposób, że żadna osada, sadyba, wspólne sianożęci a nawet droga, czy ścieżka publiczna nie mąci spokoju tego pięknego lasu kawałka. Starodrzew przeważnie sosnowy, piękne zagajniki dębowe, gdzieniegdzie kępy brzozy i olchy stanowią drzewostan zwierzyńca, w którym liczne, iście poleskie bagienka są jakby stworzone na ostoje łosi. Dwa strumyki leśne przerzynają zwierzyniec, tworząc gdzieniegdzie urocze jeziorka, ujęte w karby sztucznych śluz i grobelek. Kilkomorgowe, owsem i trawami podsiane poletka, po lesie rozrzucone, staramy się urządzić jako „Wildäcker“ dla zwierzyny, szczególnie dla jeleni. Oryginalną właściwością flory naszych lasów są olbrzymie, niekiedy w pień grubych drzew wyrosłe krzewy dzikiej azalei (azalea pontica); po całym parku rozrzucone, zajmują one w Pilawinie kilkudziesięciosążniowe przestrzenie i przedstawiają istnie cudny widok, gdy kwitną na wiosnę żółtym i różowym kwiatem; zdaje mi się, że tylko w naszym zakątku kraju, w okolicy i nad brzegami Słuczy, azalea w dzikim stanie w lasach się pojawia. Podanie niesie, że dostała się ona do nas z Krymu i z nad brzegów Czarnego Morza przypadkowo przyniesiona w nasieniu temu parę wieków przez Tatarów, w ich ubraniach lub końskich czaprakach, a może z furażem koni i znalazłszy grunt podatny. doskonale się u nas zaaklimatyzowała.

Pan Małaczyński, dyrektor akademii leśnej we Lwowie, a częsty gość w Piszczowie, pod którego umiejętnem kierownictwem odbywa się obecnie zaprowadzenie gospodarstwa lasowego w Piszczowie, potwierdził wiarygodność owego podania, notowanego jako fakt w podręcznikach polskiej botaniki; do egzotycznej fauny dostraja się egzotyczna flora!

Obecnie według osobistych i ścisłych wskazówek JW. Właściciela pracujemy nad siecią dróg jezdnych i spacerowych, ułożeniem mostków, grobelek, ścieżynek podchodowych i kładek przez moczary, mających ułatwić wszędzie dojazd i dostęp do wszystkich zakątków olbrzymiego parku.

Leśniczy, łowczy i sześciu specyalnie dla zwierzyńca wyznaczonych gajowych pełni służbę dozoru i opieki nad całą przestrzenią dziedzińca i niestety pod tym względem wielkich doznaliśmy szkód i złośliwych napadów ze strony ciemnych i nieprzyjaźnie usposobionych włościan, którzy w nieuregulowanych dostatecznie stosunkach wypasów i sianożęci leśnych na obszarach dworskich, upatrzyli sobie zwierzyniec jako cel swych wybryków, a nawet zbrodniczych napadów. Choć Pilawin legalnie zupełnie wolny jest od wszelakich serwitutów, włościanom okolicznym nie było na rękę zagrodzenie tak znacznego obszaru lasu, starali się więc naprzód temu przeszkodzić, a gdy się to przy pomocy władz rządowych udać im nie mogło, poczęli mścić się na zwierzynie i w ten sposób trzy wyrosłe, piękne łosie padły od zbrodniczej ręki mściwego chłopka, który nie dla zarobku lub zysku, jeno dla wyrządzenia przykrości, zakradłszy się w nocy do zwierzyńca, pobił biedne, niemal oswojone zwierzęta.

Pierwszą zwierzyną, jaką posiadł Pilawin, były łosie; dostarczyły ich sporo, bo sztuk około dwudziestu, dobra ordynackie X. Antoniego Radziwiłła, teścia hrabiego Potockiego, lasy emilczyńskie marszałka Uwarowa, nabyto kilka sztuk poszczególnych z powiatu owruckiego, a parę nawet sprowadziliśmy z Oranienbauma pod Petersburgiem i z gubernii orłowskiej; niestety z łosiami poszło nam niezbyt fortunnie; trzy najstarsze sztuki padły, jak wyżej wspomniałem, z ręki złośliwych chłopów, a około ośm sztuk młodzieży zginęło zaraz z początku, w pierwszym roku życia; zostało łosi sztuk dwanaście i te rokują dobrą przyszłość i pierwsza w tym roku odbyta ruja daje nadzieję przyszłorocznego, pierwszego, własnego przychowku. Świetnie zaaklimatyzowały się jelenie wapiti, sprowadzone z Ameryki przez firmę Hagenbecka w Hamburgu w roku 1902 i 1903, — mamy ich sztuk pięć, dwa byki i trzy łanie; wyglądają znakomicie, wypasły się doskonale na żołędzi, która w roku bieżącym nader obficie obrodziła i odbyły też pierwszą ruję w Pilawinie.

Dodając do powyższych, nabytą przezemnie zwierzynę sybirską, bilans zwierzyny w Pilawinie przedstawia się jak następuje:

Łosi	sztuk	12
Jeleni amerykańskich . .	„	5
Jeleni azyatyckich Maral . .	„	3
Sarn sybirskich . . .	„	3

Prócz tego posiada Pilawin około 40 sztuk zwykłych sarn, które w jego obszarze zagrodzone zostały i po odbiciu zwyczajnych rogaczy przeznaczone są do krzyżowania z sybirskimi pygargusami; wreszcie są w zwierzyńcu znakomite tokowiska głuszców, w dzikim naturalnie stanie, których 15—20 kogutów rok rocznie na tokach bywa osadzanych i wysłuchanych.

Wspomnę tu również o niedźwiedziu, pełniącym obowiązki stróża na wjeździe do zwierzyńca, oraz o bobrze, który trzymany początkowo na uwięzi w małem zagrodzeniu, wydostał się ze swej niewoli i uszedł do wielkiego zwierzyńca, w którym się zapewne do dziś dnia znajduje.

Pragniemy koniecznie dobrać mu jednego lub paru towarzyszy, aby wzbogacić tem ciekawem zwierzęciem stałą faunę naszego Pilawina.

Dziś jeszcze za wcześnie, aby módz orzec, czy aklimatyzacya i hodowla egzotycznej zwierzyny wyda odpowiednie rezultaty w naszym kraju, w każdym razie próba ciekawa i w swoim rodzaju u nas; a nawet po części w Europie jedyna, która każdego myśliwego i miłośnika przyrody zainteresować potrafi.

Romuald Sokalski.



Broń małokalibrowa i proch bezdymny.

To temat tyle razy obrabiany i omawiany na wszystkie strony! Zdawałoby się, że trudnoby było już w tej materyi cokolwiek napisać, a jednak wręcz przeciwnie, możnaby jeszcze o tem pisać całe tomy. Od kilku lat używamy broni małokalibrowej i prochu bezdymnego na polowaniach naszych, a myśliwy ciągle słucha, czyta i patrzy! Słucha, co inni mówią, czyta i patrzy na to, co inni czynią, widzi co sam czyni i do jakich dochodzi rezultatów, a więc ciągle doświadcza i w myśl jego wbijają się drobne, ale coraz to nowe szczegóły, wyjaśniają się najrozmaitsze zagadki i w ten sposób wyrabiają się w nim powoli ale stale pewne przekonania i pojęcia o rzeczy, tem jaśniejsze, o ile jest sam fachowym myśliwym, tem pewniejsze, o ile sam przez ten czas doświadczał i badał.

Wiem dobrze, pisząc ten artykuł, że obruszę nim niejednego z kolegów myśliwych, który zaopatrzony niedawno w małokalibrowy trzylufek, kocha się w nim na zabój, pieści go i tuli, widzi w nim tylko zalety a wad nie rozpoznaje, zwykle jak zakochany! Nie zrażam się tem bynajmniej i nie przesądzam — mimo pewnego doświadczenia i długiej, nieraz z narażeniem utraty conajmniej palców, odbytej praktyki, — że to co piszę jest już nieomylną ewangelią. Byłaby to karygodna zarozumiałość z mojej strony. Dając moją niniejszą pracę do łamów „*Łowca*“ mam cel dwojaki: Raz chciałbym wypowiedzieć w tej kwestyi moje zdanie, do czego jako z pewnem doświadczeniem myśliwy roszczę sobie prawo, a ośmielony jestem przekonaniem, że to zdanie moje podziela wielu znajomych mi kolegów, po drugie zaś chciałbym zbudzić z długotrwałej apatyi wielu z naszych tęgich w swym fachu i piórze łowców i zmusić ich, by choć w gniewie na mnie odezwali się w naszym organie, chciałbym by się wszczęła jakaś fachowa polemika w tem piśmie, przysporzyła światła tej sprawie i oddała tem wielką przysługę tak łowieckiemu ogółowi, jak i pismu.

Bo przyznajcie panowie, dzisiaj fachowy artykuł w „Łowcu“ to *rara avis!* A przecież przeglądając ostatnie roczniki naszego organu przychodzimy z przyjemnością, ale też i z pewnem zdziwieniem do przekonania, że mamy w kraju tęgich i fachowych myśliwych, którzy jeszcze niedawno zaciekawiali nas swemi udatnemi bardzo pracami. Dzisiaj pióra te obeschły już dawno z inkaustu, a *Łowiec* przynosi nam często prawie same korespondencye, które choć bardzo ważne, bo rzucają jedyne światło na stan krajowego myśliwstwa, to przecież nie wystarczają, by jedyne nasze łowieckie pismo postawić na tym poziomie, jaki mu się należy. Daleko mi od tego, żeby robić jakieś zarzuty naszej redakcyi, bo ta przyznać muszę, że przy ogólnej apatyi swych współpracowników czyni więcej niż może. Redakcyę każdego dziennika porównać by można do budowniczego, który musi dom postawić z materyału, jakiego mu dostarczą. Że nasz budowniczy dobry, wiemy to od lat wielu i w danym razie, jak w roku zeszłym, stajemy przy redakcyi jak jeden mąż — ale redaktor nie stworzy wszystkiego za wszystkich! Cóż zrobi, jeżeli ci, na których on ma prawo liczyć i liczy, zawzięcie milczą?

Obym mógł z rozpoczynającym się rokiem zbudzić z letargu, niejedno tęgie pióro, obym mógł ubłagać k a ż d e g o myśliwego, by z k a ż d e g o, j a k i e g o l w i e k polowania zdał relacyę w „Łowcu“ i w ogóle dzielił się swojemi spostrzeżeniami łowieckiemi z resztą myśliwych! Każde słowo tyczące się łowiectwa, jakkolwiek napisane, wiem dobrze, będzie przez redakcyę z wdzięcznością przyjęte. Niech każdy swą cegiełkę rzuci, a gmach postawimy! *Łowiec* nie będzie wyglądał wtedy wobec innych pism łowieckich, jak wobec świetnego ptactwa wygląda szary wróbel, któremu w końcu nawet i szarych piór brakuje!.... Obym mógł, powtarzam, zbudzić naszych członków tym artykułem choć chwilowo z nieznośnej apatyi. Raz zbudzony płomień już może nie zgaśnie... Można go będzie podsysać, dając mu wciąż nowego paliwa.

Lecz wracajmy do naszego tematu. Nie chodzi mi tu o to, aby krytykować fachowo broń małego kalibru w prawdziwem słowa tego znaczeniu, to jest 8 lub 6-cio mm. sztuciec repetyerowy. Broń ta zyskała już dawno niepodzielnie pierwsze miejsce w całej plejadzie dotąd wynalezionych i jest ostatniem słowem nowoczesnego rusznikarstwa. Chcę tu mówić o tej samej broni, zastosowanej do drylingów i podwójnych sztućców tj. o tak zwanych zredukowanych Mannlicherach. Tu mojem zdaniem nie przełamano zupełnie kardynalnych trudności skonstruowania takiej strzelby i ta stanowczo nie odpowiada celowi. Ta broń, to ciało, któremu nie dano duszy, to broń nie mająca nic wspólnego z małokalibrowym systemem prócz jego cech zewnętrznych. Sztuciec repetyerowy ma zdolność wyrzucenia pocisku przy ogromnem naprężeniu gazów, które opanowuje ogromnie silna konstrukcya broni, mocna osada i grubość luf od osady aż do wylotu. Duszą więc systemu jest ta niesłychana początkowa chyżość pocisku, a w ślad za tem i ogromna razancya, która jest jedynym powodem destruktywnego działania kuli. Tu nie chodzi ani o wielkość kalibru, ani o formę kuli. Tu zabija zwierza nie tyle ołów, co ta straszna razancya i połączone z nią ciśnienie hydrauliczne na krwionośne naczynia zwierzęcego organizmu. Tu im mniejszy kaliber się tworzy, tem większą wytwarza się siłę wybuchową, tem większą koncentracyę gazów na małej stosunkowo przestrzeni. Im mniejszy kaliber, tem musi być mocniej zbudowanym. 6° mm. Schönauery biją mocniej jeszcze od 8 mm. Mannlicherów i Mauserów. Mniejsza tu, powtarzam i o formę kuli, byle ta przez właściwą systemowi, początkową chyżość miała stosowną razancyę. Każda kula jest równie śmiertelną. Kulami pełnemi (wojskowemi) zabiłem dużo

sztuk zwierzyny. Ta sama destruktywna działalność, to samo zniszczenie organizmu w 5⁰ centymetrowym promieniu na około drogi pocisku. Nieużywanie tych kul radzi głównie ostrożność. Wiemy z smutnych wojskowych doświadczeń, że kule te rzucone na bliską odległość w tłumy, zwykle bywały śmiertelne, jakkolwiek trafiały, a członki przestrzelone ofiar, musiały być w regule odjęte z powodu zupełnego zmiażdżenia kości. Stanowczo przeczę, jakoby kula o niecałym płaszczu stalowym, o ile na grube kości nie natrafi, zmieniała swój kształt pierwotny, a twierdzę, że kula pełna druzgocze najgrubszą kość tak samo, jak i tamta. Co do kuli expansywnej, to tej nie otaczam wogóle nimbem doskonałości, a w broni małokalibrowej nie przypisuję jej żadnego osobnego znaczenia. Strzeliłem raz z odległości 10 kroków w środek łopatki chorego na śmierć przeznaczonego grubego wołu. Wół runął w ogniu i po chwili rozstał się z życiem. Sekcya wykazała, że kula przebiwszy obie ogromnie grube łopatki, zatrzymała się z drugiej strony na skórze. Miała formę grzyba, a przy sobie płaszcz o mocno wygiętych na zewnątrz krańcach (w kształcie kapelusza-cylindra). Otóż śmiem twierdzić, że kula ta zaczęła się deformować dopiero przy końcu swej żmudnej drogi, gdyż inaczej musiałaby była płaszcz pierwej stracić a zatem, gdy tej kuli przyjdzie przewiercić rogacza lub dziczą komorę, przejdzie tą, o wiele krótszą i łatwiejszą drogą, nie zmieniwszy pierwotnego kształtu. Mimo to działanie jej będzie straszne i śmiertelne. To dowód tego, co wyżej zaznaczyłem, że broń ta zabije głównie swą razancyą i że ta razancya jest duszą systemu, a wytwarza się przez niesłychane skoncentrowante gazów na możliwie małej przestrzeni, zwiększona jeszcze butelkową formą gniazda nabojowego.

Przypatrzmy się teraz zredukowanemu Mannlicherowi. Ponieważ nie egzystuje jeszcze konstrukcya, któraby tę straszną, wprost tytaniczną siłę wybuchu opanować mogła, poradzono sobie w ten sposób, że zmniejszono o trzecią część nabój prochu i zbudowano gniazdo nabojowe prawie cylindrowe, zachowując tę samą wielkość kalibru. Odebrano więc tej broni wszelką właściwość, a pozostawiono li tylko zewnetrzną cechę systemu i pewne niewygody w znaczeniu praktycznem. Jaka to przyjemność dla myśliwego, strzelającego z ekspressa, który w ładnym odyńcu strzelanym przez kilku towarzyszy, znajdzie jedynie swoją kulę? Znam myśliwych, co znaczą swoje kule inicyałami. Przy użyciu broni małokalibrowej ułatwienie takie zupełnie jest wykluczone, bo pociski się w zwierzu nie zatrzymują. A jak te zredukowane sztućce zabijają, wolę zamilczeć, by zanadto nie drażnić właścicieli tych *quasi* Mannlicherów — nietylko dziki, ale nawet i lisy trafione mają czas długie testamenty pisać. Moje przytoczone wyżej wywody pozwolę sobie ostatecznie streścić w tem porównaniu: zredukowana broń małokalibrowa, to tosamo, co wino bez alkoholu, lub te nowe cygara bez nikotyny.

Chciałbym tu jeszcze pomówić i o prochu bezdymnym. W jednym z przyszłych numerów „Łowca" pozwolę sobie obszerniej pomówić w tej kwestyi i opisać rozmaite gatunki nowe tego prochu, które się z dnia na dzień mnożą, jak grzyby po deszczu. Przeczytawszy w ostatnich czasach dużo o tem w wielu zagranicznych fachowych pismach, odniosłem wrażenie, które uplastycznię w tych słowach: Proch bezdymny, każdy, wyprzedza proch czarny o całe niebo przez zdolność dania pociskowi (mowa tu li tylko o zastosowaniu prochu do broni śrótowej) wielkiej chyżości początkowej (około 360 metr. na sekundę) przy małem stosunkowo naprężeniu gazów, jednakowoż to jeszcze niezbadany i kapryśny materyał! Przy najmniejszym braku ostrożności, a czasem z przyczyn wręcz niedocieczonych, następuje katastrofa.

Że użycie prochu bezdymnego w broni śrótowej natrafia zawsze na trudności i wymaga daleko idących środków ostrożności, niech będzie dowodem strzelba, którą świeżo skonstruował jeden z wybitnych paryskich rusznikarzy, tak zwaną „*fusil-bouteille*", a która zyskuje coraz większe uznanie w miarodajnych tamtejszych kołach. Lufy tej broni, stalowe, są zacząwszy od osady na przestrzeni 10 ctm. zupełnie tak samo grube. W tem miejscu zaczynają szybko, ale nie nagle tracić na grubości, która wciąż ku wylotowi stopniowo maleje. Przekrój takiej lufy, przypomina rzeczywiście kształtem bardzo smukłą flaszkę.

Ma ta broń i wady, jak brak dobrej wagi i ciężar, które usunięto częściowo przez wyrzucenie szyny do celowania, na czem zyskała znowu elastyczność luf.

Czy to broń rzeczywiście dobra i praktyczna, dowiemy się może wkrótce.

Albert Mniszek.

„Na podświt."

Z chwilą, kiedy stosunki rybackie w Galicyi zostały ustawowo uregulowane i podział wód bieżących na rewiry, doszedł do skutku, sądzę, że niejeden z czytelników „Łowca", będąc może sam dzierżawcą rewirów rybackich, zainteresuje się sposobem łowienia ryb, jaki opisać zamierzamy. Z rybołostwem jako sportem, uprawianym gwoli rozrywki, nie spotykamy się u nas prawie wcale. Wyjątkowo tylko letnicy, w górskich potokach, próbują łowić na wędkę pstrągi. Najczęściej jednak kończy się na nieudałych próbach, głównie z tego powodu, że pstrągów u nas bardzo mało. Podczas gdy w Anglii rybołostwo jako sport uprawiane jest powszechnie, a bogaci anglicy dzierżawią rewiry rybackie nawet w odległych od Anglii krajach, jak w Szwecyi i Norwegii, dokąd w porze odpowiedniej udają się na połów pstrągów i łososi; u nas szanujący się obywatel nie wziąłby u siebie w domu do rąk wędki lub innych przyrządów rybackich z obawy narażenia się na śmiech i drwinki — lecz co kraj, to obyczaj.

Jeżeli łowienie ryb na wędkę, nie cieszy się popularnością i spotyka się bardzo rzadko, to leży to może w naszym charakterze. Nie mając zimnej krwi anglików, nie znajdujemy przyjemności w wyczekiwaniu nieruchomem godzinami całemi, nad brzegiem wody z wędką w ręku. Nam trzeba ruchu i emocyi. Toteż sposób łowienia ryb, jaki opiszę, przypadnie może lepiej do naszego gustu i każdego, kto ma w sobie żyłkę myśliwską i nie obawia się choćby i nieświęconej wody, zapali do tej rozrywki, mającej w sobie więcej może uroku, niż pukanina do zajęcy, pędzonych przez nagonkę.

Łowienie ryb zapomocą ości, osadzonej na długiej rękojeści, przy świetle słomianej żagwi, nazywają mieszkańcy nadbrzeża Dniestru „na podświty". Gdy woda

w Dniestrze opadnie w porze jesiennej, co zwykle ma miejsce z początkiem września i stanie się czystą jak kryształ a noce są ciche i ciemne, wtedy rozpoczynają się łowy.

Czółno mogące zabrać trzech ludzi i odpowiednią ilość okłotów żytniej słomy jest najodpowiedniejsze do tej wyprawy. Uzbrojenie łowców stanowią ości stalowe trój- lub więcej zębate, osadzone na $2^1/_2$ metrów długiej rękojęci z lekkiego drzewa wyrobionej. Tymi to osękami przy oświetleniu płonącej żagwi, trzeba trafić rybę, którą ujrzymy spoczywającą na dnie wody lub płynącą w pobliżu. Ponieważ załamanie światła w wodzie, utrudnia w wysokim stopniu możność dokładnego celowania a z drugiej strony ruch czółna i prąd wody dają bardzo mało czasu do namysłu, przeto trzeba wprawy, dobrego oka i silnej ręki, by skutecznie działać. Uderzenia ością dadzą się tu porównać ze strzałem do zrywającego się kszyka, lub do przelatującej przez wąską linię słonki. Namyślać się nie ma czasu, rzut musi być piorunująco szybki i silny, gdyż głębokość wody osłabia bardzo siłę uderzenia, a słabo uderzona ryba zrywa się z ości i uchodzi. Opisując te łowy mam na myśli bicie ością grubszej zwierzyny na głębszej wodzie; tam się trafiają czeczugi (sterlet), mereny (brzany), sandacze, wyrozuby, faty (bolenie), szczupaki, sumy.

Przebywają te gatunki najwięcej w tak zwanych „szypotach“, „klekotach“ dniestrowych, gdzie woda z bardzo gwałtowną szybkością płynie.

Mniejsze ryby trzymają się mielizny przybrzeżnej, tu trafia się zawsze świnka (pidusta), na tak zwanych „zarinkach“, przebywa smaczny czop i mały kolek, babka i inny drobiazg. Czasem i tu można natrafić na potężnego szczupaka, ale tego bardzo cicho trzeba podchodzić, gdyż najmniejszy szmer lub rozmowa płoszy go, a wtedy z szybkością strzały zmyka na głębinę, nie rzadko jednak i w tym pędzie trafia go ość z ręki wprawnego rybaka. Czeczugi i mereny przebywają dalej od brzegów i zwykle trzymają się w stadach; gdy takie stadko natrafi się w dobrem i dogodnem miejscu, połów może być bardzo obfity. Spłoszone uchodzą w górę rzeki i trzeba gonić je nieraz czas dłuższy, nim znowu pozwolą zbliżyć się do siebie.

Najważniejszą osobą w wyprawie na połów ryb w nocy jest wprawny wioślarz. On to trafi wśród najciemniejszej nocy podczas mgły, do każdego „szypotu“ lub „klekotu“. Wie gdzie są „płyty“, „szaszki“, „rynie“, „zarynki“, „zahrudki“, „gleje“ i różne inne tereny, w których ryb można się spodziewać. Dobry wioślarz może, z dwoma łowcami i kilkoma okłotami słomy płynąć pod wodę parę kilometrów. Nawet na najsilniejszych prądach daje sobie radę; manewrując skośnie do prądu przebywa go niespodziewanie łatwo. Gdy łódź mknie z wodą z szybkością bardzo znaczną w miejscach, gdzie prąd rzeki z powodu zwężenia koryta jest bardzo silny, wtedy trzeba stać mocno w czółnie, by nie wpaść do wody; czółno uderza czasem o sterczący głaz lub kamień, w które bardzo obfituje dno Dniestru. Doświadczony wioślarz potrafi jednak ominąć w nocy takie rafy, wie bowiem po konfiguracyi dna w każdej chwili, gdzie się znajduje, choć brzegów wśród ciemnej nocy dojrzeć nie można.

Nie mniej ważną osobą w wyprawie jest i ten, który oświeca nam drogę; stojąc na dziobie czółna, w prawej ręce trzyma ości a lewą ręką płonącą żagiew. Z wielką wprawą dokłada wciąż po troszę słomy do palącej się żagwi, nie spuszczając przytem oka ani na moment z oświetlonej na przodzie wody; gdy ujrzy gdzie z boku rybę, daje znaki wioślarzowi swą jak wahadło chwiejącą się ością a ten zaraz zwraca czółno we wskazanym kierunku, wszystko odbywa się w głębokiem milczeniu. Gdy przepływa się miejsca, w których spodziewać się można grubszej zwierzyny, rybak zapala jasno swą pochodnię, wznosząc ją wysoko nad głową i kreśląc w powietrzu kręgi, by jaśniej zapłonęła i na wszystkie strony oświecała wodę. — Mimo silnego nieraz wiatru, umie tak zręcznie utrzymać płonącą słomę w garści, że ta nie gaśnie, ani go nie osmali. Lecz przy cokolwiek silniejszym wietrze połów staje się utrudnionym, woda bowiem marszczy się na powierzchni i faluje a wtedy tylko bardzo wprawne oko może dojrzeć na dnie spoczywającą rybę. Po paru próbach można nabrać wprawy w tego rodzaju łowach, a gdy ma się dobrych pomocników, przyjemnie można spędzić parę godzin na wodzie. Wiele uroku mają w sobie te łowy, błoga niczem nie zamącona cisza nocy, fantastyczne oświetlenie, tajemniczość, otaczająca nas dokoła, łagodny plusk wiosła, wywołują przyjemne wrażenia. Jesteśmy przytem w ciągłem podnieceniu, zdaje się nam, że ujrzymy lada chwila jakąś ogromną rybę na dnie tej tajemniczej czarnej głębi, oświetlonej blaskiem pochodni. Gdy trafią się większe sztuki i polowanie się rozpocznie, zapalamy się również dobrze jakby w kniei i markotno nam nieraz, że przewodnik świecąc w pierwszym rzędzie dla siebie, sprzątnął nam z przed nosa grubą rybę. Przy świetle księżyca polowanie ustaje, ryby uciekają i nie dadzą się blisko podpłynąć.

Gdy księżyc późno w nocy wschodzi, płynie się z wieczora w górę rzeki, potem, gdy się rozjaśni i łowy ustać muszą, wraca się przy księżycu bez pochodni do domu. Szybko płynie łódź z biegiem rzeki, rybacy zabawiają nas opowiadaniem o dawnych łowach, o sumie, który uderzony ośćmi wywrócił łódź na głębinie i uciekł z ością, gdyż go dwóch ludzi nie mogło utrzymać, o wielkich ławicach czeczug, które w takiej ilości miały się pojawiać, że w godzinę napełniali niemi rybacy czółno, o topielcach, których widzieli a nawet rozmawiali z nimi i o różnych tym podobnych dziwach. Słucha się tego z przyjemnością i czas szybko leci. Czasem trafiają się i groźne przygody. Raz w cichą i ciemną noc, gdy przepływaliśmy na drugą stronę rzeki, uderzył nagle tak silny wiatr, że w jednej chwili zgasło światło i nie można było się zoryentować, gdzie płynąć, uderzyła silna fala w bok łodzi i zalała spód czółna; trzeba było usiąść, by czółna wiatr nie wywrócił. Skończyło się jednak na strachu, bo sternik prędko się zoryentował i przybił do brzegu, burza jednak taka się zerwała, że o powrocie czółnem do domu nie można było myśleć, trzeba było parę kilometrow wśród ciemnej nocy wracać piechotą. Raz znów niespodzianie nastała silna ulewa, światło zagasło, ciemność ogarnęła nas dokoła i tylko znajomości miejsca przez przewodników zawdzięczamy, że znalazłszy wśród skał nadbrzeżnych schronienie przed ulewą, przesiedzieliśmy dobrą godzinę w suchem miejscu, nim burza ustała. Zrobiwszy następnie z pleda i drążków ości żagle, przy pomocy trzech wioseł z szybkością strzały uciekaliśmy przed nowo nadciągającą burzą do domu. Takie jednak przygody nie zniechęciły nas do łowów, owszem ma to pewien urok w sobie i pociąga tem więcej.

Toteż wyczekuje się z upragnieniem sezonu, gdy na nowo można będzie zacząć łowy, ale to jeszcze nie prędko nastąpi. Szkoda tylko, że grubszej zwierzyny coraz mniej

w mokrych kniejach, szczególniej czeczuga pojawia się teraz rzadko, widać, że ta ryba, która podchodzi do nas z morza, uznaną została przez naszych sąsiadów za wolnomyślną i pewnie nałożone na nią ciężkie obowiązki paszportowe, którym nie chce się poddać a bez paszportu granicy w okopach, przekroczyć jej nie wolno. Gdy ustanie dzikie rybołostwo, do tej pory jeszcze na Dniestrze praktykowane i gdy rewiry rybackie obejmą dzierżawcy, może z czasem wyrosną inne gatunki ryb na duże i rozmnożą się tak, że będziemy mogli nietylko w dzień wigilii Bożego Narodzenia, ale i w dni inne widzieć je na naszym stole. Zdaje mi się jednak, że ustawa zostanie na papierze a małe rybki jak jedli, tak będą jeść tylko żydki.

Łuka, d. 1. stycznia 1904.

Leon Starkiewicz.

Z obcych światów.

Polowania na grubego zwierza w Afryce środkowej, Edwarda Foà.

(Ciąg dalszy.)

Po chwili słychać ryki coraz bliżej, a potem wszystko cichnie. Znów słyszymy charakterystyczne sapanie, jakby lwią rozmowę, wszystko się ku nam zbliża. Zwierzęta przechodzą na prawo od nas, okrążają jeziorko, schodzą do wody z drugiej strony, tuż naprzeciwko nas. Rozdzieleni jesteśmy przestrzenią 12 metrów, brzeg w tem miejscu wystaje dość wysoko ponad poziom wody, potem w łagodnym spadku równa się z powierzchnią jeziorka Wytężam wzrok i słuch, w oddali majaczeją postacie lwów, jak jakieś plamy jasne na ciemniejszem tle otoczenia idą wzdłuż brzegu i wreszcie się zatrzymują. Słyszymy naraz koum, koum, koum! Lwy piją! Ostateczna chwila nadeszła, strzelcze miej się na baczności, nie pokpij sprawy!

Tambarika trzyma reflektor i kieruje nim w stronę zwierząt, Msiambiri trzyma palec na komutatorze, ja zaś ściskam konwulsyjnie mój expres ze świecącą muszką na łufach; wydaję krótki rozkaz ludziom i w tejże chwili jasny snop światła pada na zdumione zwierzęta. Nie bawię się w kontemplacyę i podczas gdy lwy podniosły głowy, zdziwione niespodziewanym blaskiem, biorę na na cel najbliższego, mierzę w wystającą łopatkę i daję ognia! Drugi zwierz umyka, drapiąc się po spadzistym brzegu, ale w ślad za nim podąża jasny snop światła.

— Brawo Tambarika!

Walę do niego i zwierz się usuwa niżej, walę raz jeszcze i lew z wściekłym rykiem pada na ziemię, a potem ruchem nagłym, jak błyskawica, skacze na urwisko i znika w ciemnościach, rycząc z bolu. Towarzysz jego zostaje, raniłem go dobrze, leży na boku z głową w wodzie, ciało całe wstrząsają jeszcze konwulsyjne ruchy. Nabijam strzelbę i palę do niego raz jeszcze. Teraz już koniec.

Drugi zwierz postrzelony, ryczy gdzieś dalej, a potem nastaje cisza i reszta nocy przechodzi spokojnie. Hyeny i antylopy podchodzą tylko do jeziorka, ale zwęszywszy lwa, uciekają przerażone. Po jakimś czasie hyena wraca, zwęsza lwa, nie mam ochoty, aby mi napoczęła jego skórę, każę ją oświetlać reflektorem i posyłam jej kulkę ku wielkiej uciesze moich ludzi.

Hyena zakręciła się w kółko, jak pies, co chce koniecznie swój ogon pochwycić, z wyciem wściekłości i bolu umyka w pełnym biegu, młynkując od czasu do czasu szalonego walca. Dla nas patrzących wygląda to nader komicznie.

Równo ze świtem Bertrand, który usłyszał moje wystrzały, przysyła, tak jak ostatnim razem, oddział strzelców nam do pomocy.

Spostrzegłem, że lew, którego postrzeliłem w nocy, jest właśnie tym największym samotnikiem, tak przez nas oczekiwanym. Musiałem dogodzić mu kulą porządnie, bo na równinie tu i ówdzie widać małe kałuże skrzepłej krwi. Jednak przechodzi cały ranek na poszukiwaniach uciążliwych i nudnych, bo tropy lwa ledwie rozpoznać można na zeschłej ziemi, A krople krwi widnieją tylko gdzieniegdzie na gałęziach krzewów i trawach.

Dla lepszego przepatrzenia okolicy ludzie moi raz po raz wdrapują się na drzewa, ale jakoś nic nie widać. W końcu gubimy trop zupełnie, farby nie znać, co się zdarza dość często, gdy kawał krwi skrzepłej zasklepi chwilowo ranę. Z wielkim żalem musimy zaprzestać dalszych poszukiwań, po co próżno czas tracić?

Wracamy do obozu. Przyznaję w duchu, że jestem zły; dla oderwania myśli przeglądam listy i gazety, nadeszłe z Europy. Ludzie, ktorzy mi pocztę przynieśli, wyruszają w dalszą drogę jutro równo ze świtem, aby zanieść pocztę Borelemu, który przebywa w wiosce, oddalonej o sześć dni drogi. Korzystając z okazyi, posyłam mu listy od nas i zapas mięsa, oraz niektóre okazy historyi naturalnej, które nam w pochodach niepotrzebnie tylko zawadzają. Noc spędzam w obozie i odpoczywam. Nazajutrz około dziesiątej dają mi znać, że jacyś ludzie nieznajomi zbliżając się do obozu; wychylam się na zewnątrz ogrodzenia i patrzę. Tak, bezwątpienia, ktoś idzie do nas. Po chwili ludzie nieznajomi są już przy palisadzie. To dwaj krajowcy, zdejmują strzelby i mówią, że chcą się ze mną widzieć.

Za zbliżeniem klaszczą w ręce na znak powitania i zasiadają z dwóch stron u stóp moich, jak ludzie, co mają wiele czasu do stracenia. Widzę z tego, że się zanosi na dłuższą rozmowę. Na moje zapytanie jeden z nich odpowiada:

— Jesteśmy krajowcami z Buana Marungo, dziś rano spotkaliśmy dwóch waszych posłańców na drodze do Mafsitis, pokazaliśmy im krążące na wschodzie sępy nad lasami Mtudzi. Posłańcy wasi nam powiedzieli: pan nasz zgubił wczoraj wielkiego „nyana" idźcie i powiedźcie mu o sępach, a dostaniecie nagrodę.

— To nasz lew! to lew! — krzyknęliśmy jednogłośnie, bo cała służba wyległa, aby się przysłuchiwać rozmowie dzikich. Daję krajowcom w nagrodę sztukę materyi i kawał mięsa. Czarni nie posiadają się z radości i w różowych humorach opuszczają nasz obóz.

My zaś, uzbroiwszy się, w jednej chwili ruszamy w drogę. Miejsce, gdzie wczoraj zakończyliśmy nasze poszukiwania, leży na południo-wschód od naszego obozu, a ścieżka do Mafsitis ciągnie się nieco opodal. Należy przejść tylko wyschłe łożysko Mtudzi i jeszcze jakąś małą rzeczkę, która płynie ku południowi.

Ponieważ krajowcy widzieli krążące sępy na wschodzie, w okolicach Mtuezi, mam więc wszelkie dane, że

tam leży nasz lew. W każdym razie zabieramy z sobą wszystko, co potrzeba do oczyszczenia skóry: słupki, wiadra, noże i mydło arszenikowe. Tak przybywamy na miejsce, gdzie wczoraj zaprzestaliśmy pogoni. Wysokie drzewa, rosnące dokoła, zasłaniają nam widok, okrążamy je i wychodzimy na ścieżkę Mafsitis. Po półgodzinnym pochodzie zaczynają się ukazywać na niebie pierwsze sępy. Skręcamy w tamtą stronę, przedzierając się z trudnością między gęstemi zaroślami. Na nasz widok zrywają się całe chmary drapieżnego ptactwa i ulatują z wrzaskiem. Nareszcie spostrzegam opodal jakieś zwierzę brunatne, na wpół w krzakach ukryte. Zwierz nie żyje, bo roje much obsiadły jego tułów. Podchodzimy bliżej. To nasz lew! Ale niestety, jakże uszkodzony. Hyeny objadły mu łapy, a skóra, wzdęta w paru miejscach, świadczy o zupełnym rozkładzie.

Kazałem pościnać naokoło krzewy i fotografuję moją zdobycz, następnie dopiero ludzie zawlekają go w cień i zaczyna się oprawianie. Tszigallo pierwszy daje hasło, rozcinając skórę na brzuchu. Wszyscy ludzie mają miny zadowolone i pochylają się nad cuchnącym zwierzem, tak, jak my pochylamy się nad koszem przepysznych, wonnych kwiatów. Widocznie dzicy mają jakieś inne, bardziej wytrzymałe nosy, aniżeli my. Ale to jeszcze nic! Dopiero, jak wnętrzności wypuszczono na światło dzienne, robi się taki zapach, że ja. wziąwszy nogi za pas, umykam, podczas gdy ludzie moi oświadczają: „Alle konunka“ (trochę czuć). Z miną jakby mówiii: „Piękną pogodę mamy dziś, nieprawdaż?“

Od czasu, gdy już sam oprawiam zwierzęta, nos mój wytrzymuje różne próby, ale przyznam się, że wnętrzności zwierząt drapieżnych wydają woń okropną.

Skoro tylko zdjęto z lwa skórę, wkładamy ją w przygotowaną umyślnie kąpiel z ałunem, bacząc, ażeby nie zamoczyć sierści. Kąpiel ta zabezpiecza skórę od lenienia, potem zaś rozpościeramy ją na oczyszczonym placyku w pełnem słońcu. Następnie dopiero, zatkawszy dobrze nos, przy pomocy Tszigallego mierzę szczątki lwa i odcinam łeb — resztę tułowiu wyrzuciliśmy.

Po ukończeniu pracy kładziemy się w cieniu i odpoczywamy, lekki wietrzyk chłodzi nam uznojone czoła, podczas gdy skóra się suszy, a sępy ucztują opodal na szczątkach lwa. Dzięki staraniom moim, skóra jest ocalona, a warta starania, bo okaz przepyszny: kark cały okryty grzywą ciemną, prawie czarną, szkoda tylko, że brakuje łap, wybrało się jednak parę pazurów, które zachowałem sobie na pamiątkę.

Jest to lew największy z mojej kolekcyi, tem milszy, bo niespodziewany. Nie mogłem dobrze obejrzeć szkieletu, ale zdaje mi się, że jedna z kul przeszyła zwierzę ukośnie i rozerwała płuca, druga zaś uwięzła gdzieś w kręgach.

Trzy godziny piekielnej operacyi promieni słonecznych zabezpiecza skórę od zepsucia. Zwijamy ją w rulon sierścią na zewnątrz i dwóch ludzi niesie ją na kiju. Tak wracamy tryumfalnie do obozu.

Sępy już dawno zakończyły swą ucztę, w oddali bieleje kilka kości dobrze ogryzionych, czekając dalszego losu. Z nadejściem nocy zjawią się tu hyeny i dokończą uczty.

Przez kilka dni w obozie o czem innem nie mówią jak tylko o szczęśliwem odnalezieniu lwa. Ludzie moi na ten temat toczą długie dysputy, radość panuje ogólna. Ja zaś urządzam sobie małe wakacye, bo w ostatnich czasach napracowałem się dosyć. Bezczynne siedzenie w obozie przykrzy się jednak prędko, robię więc nowe zasadzki nad jeziorkami. Tym razem już w dzień, bo nie chodzi mi o zwierzęta drapieżne. Polowania udają się doskonale i dołączam jeszcze do naszych zbiorów dwie prześliczne antylopy „kudu“, olbrzymiego pawiana, rzadki okaz zebry i zabawną małpę o rudym grzbiecie.

Przedtem jeszcze, podczas nocnych zasadzek, skoro straciłem zupełnie nadzieję upolowania jakiegoś grubszego zwierza, strzelałem do mniejszych zwierząt nocnych i miałem już spory ich zapas. Między innemi były ostrowidze, piżmowce, dzikie koty, dzikie świnie (kumba). Ta ostatnia jest okazem bardzo rzadkim i nie należy jej mieszać z gróboskórnym dzikiem, który jest uzbrojony w wielkie kły, podczas gdy „kumba“ ma tylko małe kiełki. Dochodzi wzrostu małego dzika, żeruje w nocy, pokryta jest sierścią brunatno-czerwoną, mięso jej jadalne, nawet doskonałe.

Między innemi zabiłem także pancernika; zwierz ten, o twardej łusce na grzbiecie, należy do rzadkości, tak, że nie wszyscy krajowcy go znają. Pancernik nie pijał wody nigdy, tylko krążył około naszej kryjówki, niepokojąc nas niepotrzebnie; nie mieliśmy pojęcia, co to za dzika bestya łazi i szpera po okolicy. Pewnego pięknego poranku posłałem mu kulkę, od tej chwili zamilkł na wieki. Nazajutrz znaleźliśmy niedaleko naszej kryjówki zwierządko jakieś, do wielkiej szyszki podobne. Był to właśnie ów nieszczęsny pancernik, w ostatnim konwulsyjnym ruchu skurczył się, zjeżywszy łuskę i tak zesztywniał; potem jednak zdołaliśmy go rozprostować, wypchać i do naszego zbioru dołączyć.

Do rzędu zwierząt, które nie piją wody wcale, lub ją znajdują pod ziemią w miejscach, o których my pojęcia nie mamy, między innemi należą: mrówkojad, żółw, węże, większa część małych gryzoniów, aguty, zwierzęta owadożerne i t. p., wiewiórki mitsaganas i zające. Z ptaków zaś kuropatwy i jarząbki.

Co mnie utwierdziło w przekonaniu, że naokoło nie ma nigdzie innych poisk, prócz paru znanych nam jeziorek, to liczne chmary ptactwa, które codziennie przylatywały pić wodę. Rano i wieczorem zjawiają się najmniejsze gatunki ptasiego rodu, oraz synogarlice, kruki wodne; koło południa nadciągają sępy, marabuty, kruki i jastrzębie.

Obserwując przez dni kilka taki mały światek zwierzęcy, można zauważyć pewną punktualność, z jaką się zjawiają zwierzęta u wody. Jedne razem z pierwszym blaskiem zorzy, inne z ostatniemi promieniami zachodzącego słońca, inne znów podczas największego upału, w samo południe.

Zwierzęta, które nie odbiegają daleko od poisk, krążąc w pasie, otaczającym jeziorka, jak: kozły, zeedbucksy antylopy, pewne gatunki gruboskórnych i t. p., piją wodę rano, koło dziesiątej, a wieczorem znów zjawiają się u brzegu, około czwartej.

Zwierzęta, co w pogoni za żywnością odbiegają daleko np. łosie, zebry, antylopy czarne, te nie mają oznaczonej godziny, lecz piją o różnych porach dnia. Bawoły zjawiają się czasami o zachodzie słońca, czasami zaś, gdy odbywają pochody nocą, piją nad ranem. Małpy duże i małe nadciągają w samo południe.

Lwy gaszą pragnienie po zachodzie lub przed wschodem słońca; wszystko zależy od tego, czy łupieżcom udały się łowy, czy nie. Jeśli w nocy ułowiły ofiarę, na-

jadłszy się dobrze, piją wodę nad ranem, a potem kryją się gdzieś daleko i trwają w spokoju.

Nosorożce odwiedzają jeziorko około dziesiątej, to jest mniej więcej w dwie lub trzy godziny po zapadnięciu zmroku, albo też przed świtem.

Zresztą, zwyczaje mieszkańców puszcz afrykańskich ulegają częstej zmianie, bo któż może przewidzieć, jakie rady podszepną im do ucha instynkt zachowawczy, fantazya i nieufność? (C. d. n.)

Korespondencye.

Wysuczka 30. grudnia 1903.

Luki się porobiły w delegaturach łowieckich a te nie zostały dotąd zapełnione; u nas n. p. w powiecie Borszczowsklm ubyło dwóch, t. j. hr. Michał Baworowski, który zrezygnował i wydarła nam śmierć nieubłagana Kazimierza Rudnickiego, czynnego na każdym kroku naszego życia narodowego na kresach, pozostało nam dwóch delegatów; lecz ci, jakkolwiek zawołani myśliwi i dają dowody tego racyonalną gospodarką łowiecką, jednak nadto absorbowani sprawami kraju i powiatu, aby mieli czas śledzić postępu łowiectwa w powiecie i donosić o tem redakcyi „*Łowca*“.

Starosta nasz, p. Wyczołkowski, nie myśliwy, lecz pojął to jako dobry obywatel kraju, że gałąź ta gospodarstwa krajowego, może wielkie dla kraju korzyści przynieść i dlatego każdą prośbę o paszport na broń, przesyła do zaopiniowania do Wydziału, który znów pyta o opinię delegatów, w ten sposób nie tworzą się całe armie niepowołanych a nałogowych kłusowników. Za poprzedniego kierownictwa, każdy włościanin otrzymywał certyfikat na broń, a to na odstraszanie dzików; dziki jak robiły szkodę tak robią, lecz za to jak mi opowiadano w Muszkatówce i w Słobudce muszkatowieckiej, ma być między włościanami 60 strzelb. Za życia śp. Albina Słoneckiego, właściciela Muszkatówki i Turylcza, knieja ta była jedną z najpiękniejszych w powiecie, dzisiaj tak gwałtownie upada z każdym rokiem, że aż przykro o tem mówić.

Zadziwiłem się nie pomału artykułem „*Łowca*“ z dnia 1. grudnia a mianowicie korespondencyą ze Złoczowa, i gdyby był autor znał knieję tę za życia ś. p. Słoneckiego, byłaby lutnia jego nie dźwięczała takim hymnem pochwalnym. O panu Witosławskim i jego gościnności, mówi każdy, kto dom ten poznał, lecz p. Witosławski boleje sam nad upadkiem tej kniei, a zaradzić temu nie może, bo stosunki tak się ułożyły. Druga pieśń pochwalna w tym samym artykule, jest na cześć właścicieli Borszczowa PP. Mojżesza i Josla Feldschuhów i właścicieli Korolówki PP. Jawetzów. Jako najbliższy ich sąsiad wiem dokładnie, że właściciele Borszczowa, sprawiają tradycyjne wigilijne polowania, tylko nie na swoją zwierzynę. Nie ma nigdzie takiej pepiniery srok, wron, jastrzębi, lisów i borsuków, co u nich, a zwierzyny dostarczają sąsiednie rewiry i na tę sprasza się urzędników powiatowych. Przyznać jednak muszę, że i tu postęp jest, bo kiedy dawniej kto chciał polował, za rządów pp. Mojżesza i Josla, ustała ta samowola i jeżeli dla rozmnoży tej zwierzyny i karmienia jej nic się nie robi, to przynajmniej nie niszczy się jej lekkomyślnie, jak za dawnych czasów. A już zupełnie nie pojmuję pieśni pochwalnej na cześć Jawetzów. Ci właściciele tu nie mieszkają i zupełnie nie interesują się łowiectwem; jeden z kilku braci jest zapalonym myśliwym i miałby najlepsze chęci, lecz tam jakieś spory majątkowe nie pozwalają mu zająć się łowiectwem tak, jakby rozumiał i chciał. Oto obraz prawdziwy, który w odpowiedzi ślę na artykuł ze Złoczowa; i jeżeli piszemy wogóle do „*Łowca*“, kreślmy obrazy wiernie, lecz nie ze słuchów lub ad captandam benevolentiam.

Mamy tu w powiecie kreatury łowieckie, u których w maju zając na półmisku nie jest rzadkością, a wybiwszy na terytorjum swojem, co się wybić dało, główki kapusty z kaczanami wsadza się w małym lasku i wabi sąsiednie zające, aby tłuc bez litości. Taki sąsiad, to prawdziwa rozkosz dla myśliwego i całą straż rewiru trzeba w ruchu dzień i noc utrzymywać, aby bronić się przed nim.

Jegomość ten poluje dzień i noc, w święto i w niedzielę, a wszystko na mięso; kiedy on śpi i kiedy spełnia obowiązki swoje zawodowe, to zagadką dla wszystkich w powiecie. O sprycie jego kłusowniczym legendy opowiadają, te jednak byłyby zabawne, gdyby były opowiadane jako o przeszłości lub z dalekich okolic.

Obiecałem napisać o bażantach sprowadzonych na wiosnę, otóż donoszę, że z 12 kur i 3 kogutów jest 4 gniazd bażancich o niewielu sztukach, mimo, że się je pielęgnuje, dowozi się piasek, wodę i karmę, nie wiem jaki powód, że tak ich mało. W całej okolicy wiem tylko o 4 właścicielach, którzy bażanty sprowadzili, a to hr. Michał Baworowski. hr. Tadeusz Koziebrodzki, p. Horodyski z Kolędzian i ja. Jakie są rezultaty tam, nie wiem, to tylko mi opowiadano, że p. Mojżesz Feldschuh kontent, że bażanty kolędziańskie są u niego w Zalesiu, a p. Josio Feldschuh będzie na moje bażanty zapraszał na polowania do siebie do lasu zamkowego i synowskiego, tak jak dziś zaprasza na kuropatwy, które lat temu 10 sprowadziłem od Gudery. Nie mogę milczeniem pominąć pochwał oddawanych Niemcom i Czechom w pielęgnacyi zwierzostanów a to przez hr. Juliusza Borkowskiego w „*Łowcu*“ z dnia 1-go grudnia. Ja znałem tych paniczów, byli to blagierzy pierwszorzędni, z pięknym raportem na piśmie występował przed właścicielem przed polowaniem, policzył w miocie sarny i zające a pokazało się w rezultacie, że oprócz sarny w sidła złapanej, którą uwolniliśmy z więzów, nic nie było w miocie i gdzież tu ta ochrona zwierzyny?

O drugim wypadku wiem, że z pierwszej kniei w kraju, zrobił taki jegomość, ostatnią, swoją znajomością nadzwyczajną. Knieja będzie dobrą i ze swoimi ludźmi, jeżeli po pierwsze ludzi tych za trud stosownie wynagradzać się będzie, po drugie, jeżeli sam właściciel myśliwy i przyjaciel zwierzyny, po trzecie, jeżeli sąsiedzi podadzą sobie ręce i jednomyślnie działają w podniesieniu zwierzostanu, a po czwarte jeżeli u władz naszych mamy skuteczne poparcie naszych usiłowań. To są warunki niezbędne do racyonalnej gospodarki łowieckiej.

Jako wzór organizacyi u nas w kraju, mogą posłużyć Lisowice, które nigdy nie sprowadziły żadnego panicza z Mariabrunn ani znikąd von Draussen, a jak tam polowanie zorganizowane, jak prowadzone, nie zatrze się w pamięci u nikogo, kto choć raz tam polował. A wieleż to innych polowań takich jest w kraju, gdzie nie posługują się tymi akademikami a poszczycić się mogą najpiękniejszymi rezultatami. Rzadko kiedy zdarzy się sposobność wzięcia pióra do ręki, aby napisać coś do „*Łowca*“ a już chwyciwszy raz za nie, nie chcę milczeniem pominąć i artykułu w „*Łowcu*“ z dnia 1. listopada br., a mianowicie artykułu pod napisem: „pour le roi de Prusse“. Jako były

starosta nowotarski a do tego trochę i myśliwy, interesowałem się stosunkami łowieckimi Tatr i przyszedłem do tego przekonania, że na naszej stronie kozica zawsze będzie tylko gościem, podczas gdy na stronie węgierskiej stałą siedzibę mieć będzie, a powodem tego jest płochliwa natura; na naszej stronie ruch turystów po wszystkich wirchach i perciach, paszenie owiec i bydła po turniach i polanach, niespokój wieczny, wygania ją tam, gdzie ma zabezpieczony spokój t. j. na stronę węgierską. Góral tatrzański, ten na swoją kozicę nie poluje, bo i nie ma na co polować, za moich tam czasów było ich policzonych sztuk 6 w całych Tatrach na naszej stronie, góral je oszczędza i nie strzela, a znając zaciekłość ludu tego do Hohenlohego, podsuwali się na stronę węgierską i za punkt honoru mieli nasi górale odstrzelić jaką kozicę Hohenlohemu. Ja sam robiąc wycieczkę do bielskich grot, widziałem na stronie węgierskiej rudel kozic z 31 sztuk składający się; tam ma spokój, tam ma ochronę, ona nie dla klimatu tam przebywa, bo ona najostrzejszy klimat znosi, lecz znieść nie może niepokojenia jej, ona nadto dzika, aby znieść mogła widok tylu tysięcy turystów, przesuwających się po naszych górach.

Czy więc ustawa z roku 1869 będzie zniesioną czy nie, to jeden skutek mieć będzie dla polowania na kozice po naszej stronie, bo tu się nigdy nie rozmnożą, chyba Zakopane przestanie być miejscem klimatycznem, a to podobnie nigdy nie nastąpi. Hr. Zamojski Władysław, ten znakomity gospodarz i pod względem łowiectwa nie dałby się nikomu wyprzedzić, gdyby nie warunki w jakich się znajduje; wszak nie może dla łowieckich względów zamykać przed turystami lasów i dróg, góral dla łowieckich względów nie będzie pasł bydła i owiec na sznurku, ognie po wirchach w nocy, trąbienie na trompitach, śpiewanie juhasów i t. p. krzyki nie mogą zatrzymać tego płochliwego zwierzęcia na naszej stronie. Tam dzisiaj głuszec rzadkością; dowiedziałem się, że głuszec tokuje nad Krościenkiem, pojechałem, dwie noce spędziłem i głuszca nie słyszałem, bo to także ptak lubiący spokój, niczem nie zamącony.

W roku 1892 nająłem dla śp. żony mojej willę Chałubińskiego w Zakopanem, a aby bliżej być żony i dzieci, prosiłem o przeniesienie mnie ze starostwa lwowskiego do Nowegotargu, co też Exc. hr. Badeni, ówczesny namiestnik dla mnie zrobił; przeniesienie nastąpiło w grudniu, lecz wieść już wcześnie dotarła w tamte strony. W październiku, w dzień moich imienin, wchodzę do pokoju mego i przed łóżkiem widzę piękną skórę z kozicy. Domownicy nic o tem nie wiedzieli, skąd się ta skóra u mnie wzięła. W miesiąc później dowiaduję się, że góral mój faworyt, umyślnie posyłał na Węgry swego zięcia, aby tam kozicę zabić i mnie prezent zrobić. Bardzo mu to za złe miałem i zmartwiłem go, nabierając z góry za przekroczenie ustawy, i ten mi właśnie opowiadał, że żaden góral swojej kozicy by nie zabił, bo to rzecz święta, ale Hohenlohemu odstrzelić i ujść baczności tamtejszej straży leśnej, to uważają jako heroiczny czyn.

Po tej gawędzie donoszę Redakcyi, że na polowaniu u mnie, które odbyło się od 14. do 19. grudnia, zabito 1 dzika, 30 kozłów, 1 lisa i 404 zajęcy. Na polowaniu wigilijnem padło: 3 kozły 1 lis i 73 zajęcy.

Razem padło: 1 dzik, 33 kozłów, 2 lisy i 477 zajęcy.

Czarkowski-Golejewski.

Uniż, 31. grudnia 1903.

Na zakończenie roku, polowano w Uniżu w 3 strzelby; na rozkładzie 1 dzik, 4 lisy, 7 rogaczy, 16 zajęcy; trzy inne dziki silnie postrzelone, przeszły farbując w obcy rewir.

Kazimierz Przybysławski.

Lwów, 6. stycznia 1904.

Żbik wzięty przez gryffona bez strzału i dublet do żbika i lisa. Dnia 24. grudnia dał znać pobereżnik rządcy w Sokołowie, iż widział do dnia żbika, jak właził na brzegu lasu do jamy lisiej — rządca wysłał natychmiast mego strzelca Michała wraz z gryffonem, Primem i jamnikiem a pobereżnik wziął z sobą ryskal do kopania — gdy przyszli na miejsce nie zastali już żbika w tej jamie, Prim jednak poszedł za tropem i zaczął naszczekiwać nad jamą także lisią, ale położoną na stromej uboczy nad rzeką Świcą — puszczono więc jamnika — po chwili zaczął naszczekiwać jamnik, potem żałośnie skomlić — zaczęto więc rozkopywać jamę, w czem pomagał i furman. Gdy się już dokopano do jamnika, wyskakuje naraz żbik, ale w tej samej chwili czepia go się jamnik, a Prim chwyta go w połowie grzbietu. Żbik wypuszcza jamnika i zaczyna się walka między Primem a żbikiem — w tej walce staczają się obydwa po stromej uboczy do Świcy, która w tym miejscu jest półtora metra głęboka. Prim jednak nie wypuszcza żbika z pyska i przez chwilę raz żbik, to znów Prim pokazują się na powierzchni wody; strzelec ani chwili nie miał możebności strzału, bo ciągle albo oba psy, albo rosły Prim był na żbiku. Do wody dość głębokiej przy dziesięciu stopniach mrozu w tym dniu również nie miał nikt odwagi wskoczyć; przeto śmiertelna walka w wodzie między Primem i żbikiem, odbywała się wobec przestraszonej w najwyższym stopniu mojej służby myśliwskiej, która wie, jak mi na tym psie zależy i sama ubóstwia poprostu tego przyjaciela. Po krótkiej jednak walce w wodzie, Prim naraz wypuszcza żbika z pyska, lecz w tej chwili chwyta go znów za kark, zanurza go na chwilę w wodzie i już prawie nieprzytomnego aportuje z wody, na brzegu czeka jamnik i pomaga mu go dodusić. Jamnik ciężko pokaleczony, ale się już wylizał, Primowi nic się nie stało.

Gdy mi przysłano żbika do Lwowa, oddałem go panu Edmundowi Hartlowi, Staszyca nr. 7 (podaję adres dla sprawdzenia) do wypchania i do sprawdzenia szczegółów, gdyż i mnie samemu wydała się cała ta historya niezbyt prawdopodobną i oto jego relacya: Żbik jest kocurem prawdopodobnie trzyletnim, waży 5 kilogr. 18 dekgr., długość od nosa do osady ogona 60 ctm., długość cała z ogonem 89 ctm., w skórze nie zastał żadnego śladu kuli ani śrutu, za to zastał kość pacieżową w grzbiecie zmiażdżoną i żebra połamane, to samo i krąg szyjny; zmiażdżenie nie nastąpiło wskutek uderzenia, gdyż są widoczne ślady zębów tak w mięsie, jak i w kościach — to tłumaczy, dlaczego zwycięstwo Prima było ułatwionem.

Drugiego stycznia, przy obchodzeniu granic mego polowanie, spostrzegł Michał na granicy lasu w Dzieduszycach małych i Czołchanach świeży trop żbika, który wszedł do lasu w Dzieduszycach, zostawił pobereżnika z Primem na tropie i polecił mu puścić psa na trop za pół godziny, sam zaś poszedł ukryć się w głąb lasu i stanął nad jamami lisiemi. Pobereżnik puścił psa w trop i poszedł za nim, nagle zjawia się żbik przed Michałem, ten strzela i zabija

go — ledwie jednak strzał padł, zjawia się lis, który, zdaje się, przestraszony strzałem, szybkim tempem zdąża do jam. Michał strzela i ciężko go postrzeliwuje — w tej chwili jednak zjawia się już i Prim — dopada lisa, nie daje mu się skryć w jamę i jeszcze po zaciętej walce dodusza. Żbik jest kotką tegoroczną i znajduje się już także do wypchania u Hartla.

Dotąd padło już w Sokołowie ośm żbików, z tego w ostatnich dwóch latach siedm, a służba mi donosi, że jeszcze są tropy — widocznie jest gdzieś w sąsiedztwie w Turzy lub Lisowicach papa i mama. które płodzą dzieci i te wysyłają na bażanty do Sokołowa, bo dotąd nie zabito zbyt dużego lub starego żbika. Jeżeli zatem tak jeszcze przez szereg lat będą mi dostarczać potomstwa, to mam szanse dojścia do bardzo poważnej kolekcyi, może nie tylko jedynej w całym kraju, ale myślę, że jedynej w całem państwie austryackiem. Ale to nie będzie zbyt przyjemnem dla chowu zwierzyny. Jak każdy drapieżnik ściąga do bażantów, dowodem, że cały rok boży strzela się i truje lisy, w lecie nazywa się, że już nie ma lisa na lekarstwo, tymczasem w tym roku od jesieni do teraz padło już siedmnaście lisów. *Stanisław Matkowski.*

Barysz, d. 3. stycznia 1904.

Jadąc na polowanie sankami do sąsiedniego lasku, z dwoma myśliwymi, dnia 14. grudnia 1903, widzimy coś nadlatującego ze strony południowej na północ wprost na nas, przygotowujemy strzelby i co spostrzegamy? sznur gęsi dzikich lecący ze słabem gęganiem, bo było wtedy mrozu dobrych 7 stopni.

Nie strzelaliśmy, bo było za wysoko, ale poznać było, że bardzo zbiedzone, bo i głos był słaby.

Stan kuropatw tego roku bardzo ładny, co parę kroków spotyka się po nizinach stadko kuropatw w śniegu żerujących, — w lasach baryskich jeszcze nie polowano tej zimy, ale rezultat będzie dobry, byle tylko śniegi spadły, bo zając wszystek w rolach, a sarny po oziminach. Gdy się odbędą polowania, doniosę do „*Łowca*".

B. Siedlecki.

Drobne ogłoszenia.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**